

SAMPLE
TRANSLATION

MIHA MAZZINI
NIEBIESKI TO KOLOR
WOLNOŚCI

PUBLISHED BY: BELETRINA, 2014

TRANSLATED BY: MONIKA GAWLAK

ORIGINAL TITLE: MODRA JE BARVE SVOBODE

NUMBER OF PAGES: 8

Miha Mazzini: Niebieski to kolor wolności

Babcia trzymała pęknięte jajko nad parą i powoli zaczęła je otwierać. Starość równomiernie potrząsała jej palcami i zapraszała białko na zewnątrz. „Dotknij je” powiedziała do chłopca, który musiał przynieść krzesło, by na nim stanąć. Wyciągnął rękę nad podskakującą, próbującą go dosięgnąć wodą. Wcisnął w otwór koniuszek palca wskazującego.

„Jakie jest?” pytała babcia.

„Mokre.”

Kiwnęła głową. „coś jeszcze?”

„Lepi się.”

„Tak. I jest miękkie, zgadza się?”

Chłopiec kiwnął głową.

„Odsuń rękę.”

Włożyła kciuk w otwór i odchyliła skorupki. Zawartość jajka z wysokości wpadła do wrzątku. Odłożyła skorupki i wzięła łyżkę wazową. Woda zabieliła jajko i babcia nabrała je łyżką i podniosła. Ostrożnie, przy wewnętrznej krawędzi garnka odcedziła je, odwróciła się i nad stołem powoli przechyliła chochelkę, aż jajko wypadło na obrus.

„Dotknij je!”

Palec poruszył masę i odwrócił ją.

„A teraz? Jakie jest teraz?”

„Już nie jest takie mokre. Twarde jest. Już się tak nie lepi.”

„Stwardniało, tak się mówi. Słyszałeś już kiedyś to słowo?”

„Ksiądz na mszy mówi, że Bóg może zmiękczyć stwardniałe serca.”

„Grzeczny chłopczyk. To prawda.”

Babcia usiadła wzdychając, co chłopiec tłumaczył sobie jako pozwolenie, że może zeskoczyć z krzesła i przyglądać się białej kluce, stojąc z boku stołu.

„To,” pokazała na jajko, „jest podobne do ludzkiego serca. Rodzi się mokre, zdolne do płaczu, miękkie, podatne na zranienia, i klejące, zdolne do związku z innymi. Lecz jeśli nie jesteś ostrożny stwardnieje. O tak ...”

Płynnym ruchem potoczyła jajko do krawędzi stołu. Chochelkę podała chłopcu.

„Uderz rączką!”

Nie za dobrze wiedział, co ma zrobić.

„Przetnij je!” niecierpliwie wskazała prawą ręką.

Zamachnął się od góry uradowany. Utwardzone białko pękło i żółtko rozlało się na plastikowy obrus.

„Widzisz,” powiedziała babcia, „wewnątrz jest nadal takie, jak przyszło na świat. Ale może całkiem stwardnieć, może całutkie być twarde. Takie serce potem zmiękcza Bóg w piekle. Dla takich ...” skinęła przed siebie, „Pan Bóg stworzył czyściec na tamtym świecie, a żal za grzechy na tym.”

Zamilkła, a brodą dotknęła wełnianej chusty. Chłopiec pomyślał, że usnęła i sądził, że pozwoli mu zjeść jajko.

Letni deszcz uderzał w okna balkonowe i ktoś biegł po podwórku, przeklinając jednocześnie. Woda w garnku nadal się gotowała i płyta grzewcza posyłała fale ciepła do małej kuchni. Babcia nie podniosła głowy, pytając:

„Teraz rozumiesz?”

„Co?”

Spojrzała na niego, a wyblakłe ze starości oczy nawet nie mrugnęły.

„Pytałeś, dlaczego moja córka, twoja mama, robi czasem coś takiego, co robi.”

Zmarszczył czoło nie rozumiejąc.

„dlatego, że ma stwardniałe serce,” babcia odwróciła się do stołu. Chłopiec już rozumiał, że prawdopodobnie jajka nie będzie mógł zjeść.

Chłopiec nie chciał się obudzić. Zawsze, gdy w nocy otwierał oczy widział to, czego mu nie było wolno widzieć, dlatego zaciskał powieki, ale nie miał odwagi zatkać dłońmi uszu, bo mama by wiedziała, że nie śpi.

„Nie mam życia,” sapała mama, jakby już długo biegła, „przez ciebie! Jestem najmłodsza, tak, dlatego muszę się tobą zajmować! Tak mówią bracia i siostry! Im jest lekko, a ja ... Nie mam życia!”

Słyszał jej kroki obok łóżka, załomotało, gdy uderzyła się o krawędź i zajęczała. Prawie krzyknęła, ale się powstrzymała ze względu na sąsiadów.

Chłopiec trochę przymknął powieki. Mama złapała babcię za chustę i potrząsnęła nią.

„Nie mam życia! Nie mam życia! Jestem w niewoli! Tkwię tu przy tobie zamiast podróżować! Odchodzę od zmysłów! Gdzie też mogłabym być, co też mogłabym robić, a jestem twoją służącą!”

Babcia głośno jęknęła i zachlupotała, jak przy wymiotach. Mama puściła ją i stare ciało osunęło się na materac. Łkała i chwytiała powietrze.

Mama stała nad nią, energicznie się odwróciła i wybiegła do łazienki. Zapaliła światło i jego blask dotarł przez przymknięte drzwi do profilu babci, nos przekłuwał powietrze, gdy bezzębne usta łapały oddech.

Rury zajęczały zanim mogły zagwarantować wystarczająco mocny strumień wody. Chłopiec wiedział, że mama chłodzi sobie głowę pod kranem, a to zniszczy jej fryzurę i potem będzie zła z tego powodu.

Woda przestała cieknać, jakby ktoś ją zacisnął.

Mama pojawiła się w drzwiach, tylko jej kształt w świetle. Chłopiec zapomniał udawać, że śpi. W chwili, gdy mama stała nieruchomo modlił się, żeby nie patrzyła na niego, tylko na babcię. Jednocześnie jego ciałem wstrząsnęło poczucie winy, że pragnie ratunku kosztem własnej babci. Łóżko zajęczało i ciało babci wyprostowało się szybciej niż kiedykolwiek.

„Idę” stwierdziła i narzuciła sobie na ramiona plecioną chustę.

„Dokąd idziesz?” zdziwiła się mama.

Babcia przeszła zupełnie inaczej niż zwykle, żadnego chwiania się na słabych nogach czy utykania, jak to sama opisywała, zdecydowany, pewny krok, po którym chłopcu trudno było ją rozpoznać. I pomyślał, że ktoś inny założył babciną wełnianą chustę i ukrył się w niej.

„Co ci jest? Oszalałaś?” mama próbowała zatrzymać babcię. Złapały się za ręce i szamotały w tę i z powrotem. Zapach potu wypełnił pokój.

„Idę! Mam dość! Idę!” nieustannie powtarzała babcia i wściekłość mamy wyparowała, niepewnie jęczała z wysiłku, łapała oddech i jedynie ze zdziwieniem pytała, co się stało.

Babcia przedostała się do kuchni, ale mama własnym ciałem zagroziła jej drzwi wyjściowe i zebrała się w sobie na tyle, że wepchnęła staruszkę do łazienki i tam ją zamknęła.

Babcia waliła w dyktę i krzyczała:

„Idę!”

Uderzenia.

„Idę!”

Bez przerwy.

Mama przysłała po niego do przedszkola i gdy zbliżali się do bloku spowalniała krok. Zatrzymała się przed wejściem i długo patrzyła na balkon. Za oknami nie było widać żadnych ruchów.

„Zwariowała. To od tej pobożności!” stwierdziła i nie wiedziała, co ma zrobić. W klatce wyciągnęła klucz z torby i podała go chłopcu.

„Idź na górę, bądź z nią. Ja pójdę jeszcze posprzątać do jednej pani, wrócę wieczorem. Nie wypuszczaj jej nigdzie! Nie może wyjść na zewnątrz. Jakiż to byłby wstyd!”

Babcia usiadła na swoim miejscu na skraju łóżka, tylko że nie trzymała w rękach książki *Życie świętych*, ale płócienną torbę, którą chłopiec do tej pory widział na szafie i traktował jak jej nieodłączny element.

„Otwórz mi,” powiedziała.

„Idę.”

„Babciu, nie mogę!”

Chłopiec nie mógł liczyć na siłę, więc wymykał się szybko i sprytnie. Lekko przebiegał przez łóżko i za każdym razem, gdy było trzeba z rozpędu przeskakiwał krzesło. Babcia zdyszana znów usiadła i znowu wzięła do ręki torbę.

„Idę!”

„Babciu, proszę, co ci jest? Mama powiedziała, żebym na ciebie uważał. Nie mogę uważać tam na zewnątrz, tylko tutaj mogę, babciu, proszę!”

„Idę, idę do Lourdes! I do Santiago de Compostela! Nie chcę cię już dłużej pilnować. Ile jest świętych miejsc, których nie zobaczę, bo muszę pilnować benkarta benkarta. Kara boska! Jezu bądź pochwalony! Ale nadszedł czas, żebym sobie poszła. Nad tobą będzie czuwał święty Stanisław Kostka, podczas gdy ja będę podróżować.

Wstała i nadal jej ruchy były zaskakująco młodzieńcze. Przeniosła torbę do drzwi i czekała przed nimi.

„Otwórz smarkaczu! Otwórz jak mówię do ciebie!”

„Babciu, nie mogę! Mama mówiła ...”

„Co ma twoja mama przeciwko Bogu? A Bóg jest po mojej stronie! Nie masz wyboru, zrób to czego Bóg chce!”

„Babciu, nie mogę!!!!!”

„Widzę, widzę serce, co twardnieje. Powiedz, powiedz głośno! Stwardnieje! Słyszysz, krk, krk, krk, jak kurczy się twoje serce?!”

Chłopiec nie chcąc powtarzać za nią i z lewej strony w piersiach zaczęło go ścisnąć.

„Grzeszysz,” powiedziała i powoli wróciła na swoje miejsce, „grzesznik z ciebie i Bóg zgnie ciebie jak gnidę. Całe Pismo Święte wczytałam w ciebie, wypełnia cię, dobrze wiesz, jak sprawiedliwy i groźny jest Bóg. Ile miejsc zniszczył, ludzi zatopił, słyszysz, jak nadchodzi po ciebie?”

Chłopiec ze strachu spojrzął za okno na skrawek nieba nad sąsiednim budynkiem.

„Przyjdzie jak uczucie, jak ukłucie. Zdrętwieje ci ręka, zesuszy ci się ciało. Robaki wyjdą na zewnątrz i zeżrą cię żywcem. Wciąż i wciąż będziesz czekał na jego przyjście i na swoją śmierć. Nie znasz dnia ani godziny, ale ty nie będziesz mógł oderwać od tego myśli, jak robi to większość ludzi. Będziesz świadomy, bo jesteś grzesznikiem, bo grzeszysz przeciwko własnej babce!

Z Bogiem i miłosierdziem, oko za oko, ząb za ząb!”

Przyszedł wujek Vinko i powiedział babci, że nie może wozić mamy na siedzeniu pasażera, bo tir jest służbowy. Przyszedł wujek Jule i powiedział, że mamy nie nadają się na tylne siedzenie motorynki. Wujek Bruno tylko kiwał głową i gdy odjeżdżał pokręcił palcem wskazującym przy skroniach.

Babcia nawet do ubikacji chodziła z torbą.

Raz po kolacji mama długo przyglądała się swoim dłoniom, babci, i znów dłoniom, tak bez przerwy. Było to dla niej tak naturalne i oczywiste, że chłopiec nawet się nie zdziwił, zrozumiał, że zastanawia się, co przez wszystkie te uderzenia i potrząsania wypadło z babci i czy jest możliwe, żeby to wsadzić z powrotem.

Babcia chodziła za nim i smażyła go w piekle, straszyla pożerającymi robakami, opisywała mu oznaki choroby i uciążliwości, które chłopiec od razu wszystkie miał. Chodził coraz bardziej skulony, potykał się, ciężiej oddychał, a na twarzy pojawiły mu się tiki; nadchodziły jak przyptywy i zalewały mu rysy twarzy.

Nawet na chwilę nie mógł przestać być czujny, babcia czasami podchodziła zaskakująco cicho i chciała go złapać. Nie mógł się bawić i marzyć, musiał być nieustannie czujny, a skupienie aż bolało, stwierdził, że jeszcze nigdy nic tak trudnego nie robił.

„Źle wyglądasz” stwierdziła babcia „a wiesz dlaczego? Bo twoje serce jest jeszcze w środku miękkie. Bo nie jesteś takim człowiekiem, który mógłby całkiem stwardnieć. Będą cię wykorzystywać przez całe życie, czy kiedykolwiek pomyślałeś, żeby zostać świętym? A co, gdybyśmy zaczęli razem, jakąś miałą pielgrzymką? Idziemy do Santiago de Compostela?”

Miękki i miły głos, od którego już się odzwyczaił, zbliżył chłopca i spowolnił. Złapała go i długo się musiał szarpać zanim ocalił klucz.

W zerówce już by się uczył pisać i czytać, a tak tylko przysypiał i ponieważ całe zasoby koncentracji wyczerpał w domu, słyszał jak nauczycielki rozmawiały ze sobą o przepisaniu go do szkoły specjalnej.

Już nie mógł. Chciał wyjść, chciał uciec. Mama sprzątała coraz dłużej i częściej, do domu przychodziła tylko spać, a babcia przenosiła torbę po kawalerce i czasami stała przy framudze, jak pod rozkładem jazdy na przystanku autobusowym.

Chodził skulony, bo na plecach nosił Boga i ciężar ciągnął go w dół. Oczekiwanie jest gorsze niż kara i zaczął nienawidzić to niewidzialne brzemie na sobie, brzemie wyczekiwania drobnych symptomów ciała, ciągłego zastanawiania się, czy to już pierwsza oznaka, czy już się zaczęło, nadeszła kara?

Pragnął kary, teraz.

Twarze wujków: Vinko, Bruno, Jule – pierwszy zawsze wesoły, drugi poważny, trzeci wkurzony. I żaden nie czekał na straszną karę? Przecież babcia ganiła ich i przepowiadała im piekło, tylko nie swojemu najukochańszemu, Vinkowi, jemu tylko czyścić – a oni śmiali się jedynie i odchodząc machali ręką.

Dlaczego klątwa ich nie dotyczy, w jaki sposób spływa po nich? Mają stwardniałe serca? Czy twarda warstwa jest konieczna, aby nie płakać nieustannie, żeby wszystko nas tak nie bolało, żebyśmy mogli być też sami?

Nagle chłopiec stwierdził, że jego serce jeszcze za mało stwardniało.

„Wujku Vinko?” chłopiec chwycił go już na korytarzu i szybko zamknął za sobą drzwi, zanim odwrócił się w stronę czekającego mężczyzny.

„Czy ty w ogóle nie boisz się Boga?”

„Babcia cię straszy, co?” Vinko pokiwał głową i przejechał palcem po wąsach, jakby odsuwał zastony.

„Tak.”

Chłopcu zachciało się płakać.

„Wiesz,” powiedział Vinko „Mój Bóg korzysta z życia, po co miałbym go stwarzać, jeśli bym go nienawidził?”

Chłopiec szeroko otworzył usta.

„Pomyśl o tym,” mrugnął do niego Vinko i już zeskakiwał ze schodów, jakby stepował.

„Wujku, proszę, nie zostawiaj mnie tak!” krzyknął od serca, że wciąż jeszcze roześmiany Vinko spoważniał i poczekał pod schodami, dopóki chłopiec nie dobiegł do niego i nie przyłgnął z całej siły. Papierosy, ostre perfumy, zapach benzyny, ukojenie.

„Posłuchaj chłopcze” powiedział Vinko. „Babcia przeczytała ci całe Pismo Święte, wiele razy, czyż nie? Czy nie wydaje ci się, że Bóg w całej tej księdze jest zupełnie różny, że nosi różne twarze? Babcia wybrała swojego, a ty będziesz musiał swojego, Rozumiesz?”

„Nie” pokręcił głową chłopiec i otarł łzy.

„Mały jesteś. Tak też jest w porządku” uśmiechnął się zadowolony Vinko.

W zerówce nie tylko nie nauczył się żadnej litery, nawet obrazków nie rozpoznawał. W głowie mu szumiało i dudniło. Czy to możliwe, że straszliwy Bóg, który obwinał babcię za wszystkie jej grzechy, jest taki tylko dla niej? Tylko coż zrobiła tak straszego, to musiało się zdarzyć w młodości? Co oznaczały słowa wujka Vinka o różnych twarzach Boga? Czy jest dla niego jeszcze jakaś nadzieja, jeśli wybierze inną twarz, niż ta, którą wybrała babcia? Jak i kiedy dowie się tego?

Nie chciał wracać do domu, chciał uciec, choćby do czyśca.

Nauczycielki zakazały wchodzić na drzewo, a on potrzebował samotności. Jakże tęsknił za swoim kątem między drzwiami balkonowymi i łóżkiem, gdzie nie mógł już tak po prostu wejść i się bawić. Dzieci grały z nauczycielkami w berka, nikt nie patrzył na niego, pobiegł w krzaki i przygotował się do wspinaczki.

Wcisnął się w przestrzeń, gdzie gałęzie nachodziły na siebie i wyłączył się. Obrazy i myśli przepływały obok niego i wypierały się nawzajem, nie niosąc znaczeń ani rezultatów. Straszliwy Bóg i klątwa, żółta ciężarówka zabawkowa, wujek Vinko machający przez okno szoferki, babcia z torbą, obrazy rozpadu i grozy, grafiki biblijne.

Nagle pełna koncentracja: gniazdo w gałęziach nad nim. Rozszerzyły mu się oczy i nastroszyły uszy. Dzieci nadal się bawiły, konar chłodził jego dłonie, przez spodnie przenikała wilgoć. Pachniało bzem rosnącym po drugiej stronie ogrodzenia.

Powoli położył się na gałęzi i zaczął wspinąć wyżej. Gałąź stała się giętka, dygotała i dłonie coraz trudniej mogły znaleźć miejsce do przytrzymania się. A serce uderzało w korę jak dzieciół.

Tam, gdzie się zatrzymał, nie mógł spojrzeć do środka gniazda. Wyciągnął rękę i zrzucił je. Oderwał.

Spadało i widać było, że jest pełne jaj.

Jedno jedyne jajo pozostało całe i właśnie to wykuło się z gniazda. Wziął je i wsadził z powrotem do pozostałych. Długo nie mógł oderwać wzroku od drobnego i wybrudzonego ptaka o zlepionych piórach i różowawym dziubku, którego ciało pulsowało, jakby zostało w nim tylko serce.

Wziął kamień i podniósł go.

Uderzał i uderzał, rozgniatał skorupki i ciała, miażdżył i rozdrabniał je w śmierć.

Gdy odłożył kamień poczuł ulgę. Bóg to samo zrobi z nim. Wytarł z rąk śluz i krew w opadłe liście.

Przymrużył oczy i wstał z pochyloną głową. Zbierał odwagę, aby się odwrócić i spojrzeć na wściekłą, choć sprawiedliwą twarz Boga.

Odwrócił się i podniósł głowę, ale nie otworzył oczu. Chciał przedłużyć uczucie spokoju, które go wypełniało.

Wciągnął powietrze nosem i oczekiwał zapachu siarki, wylewającej się z otwartych bram piekła.

Wyobrażał ją sobie jako ducha, który nawiedził jego miasto, gdy w fabryce rozbili piec hutniczy. Otworzył oczy i zobaczył jasne niebo.

Długo na nie patrzył, a potem dołączył do kolegów, spokojny, bo Bóg babci nie interesował się nim i dlatego nie będzie już musiał zabijać.

KONIEC

*Na ogół ludzie wierzący tworzą sobie Boga na swoje podobieństwo:
dobrzy czynią go dobrym, źli złym; bigoci, pełni nienawiści i złości,
widzą jedynie piekło, bo chcieliby skazać na nie świat cały; dusze
kochające i łagodne nie wierzą w nie wcale.*

Jan Jakub Rousseau *Wyznania* (Tłum. Tadeusz Żeleński Boy)